

Księżycowy pejzaż Mono Lake



Mono Lake, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Po długiej drodze przez szarobrunatne, wulkaniczne ciągnące się setki mil pasmo łańcuchów górskich **Sierra Nevada**, z wyschniętą roślinnością wdzierającą się w kamienną przestrzeń otaczającą horyzont, zatracą się zachwyty nad potęgą natury, przerastającą człowieka swoim ogromem. Zmęczony skalistą monotonią krajobrazu wzrok, pragnie choć na chwilę zatrzymać się w jakiegokolwiek życiodajnej oazie. Gdy więc nagle zza gór wyłania się srebrzysta, o kapryśnych kształtach, księżycowa sceneria **Mono Lake**, wydawać się to może nierealną fatamorganą.

Mark Twain, pisarz, dziennikarz, poszukiwacz złota i podróżnik, który dotarł do najbardziej dzikich zakątków Ameryki, nazwał to ukryte wśród pustynnej przestrzeni jezioro, **Morzem Martwym Kalifornii**. Rzeczywiście, zasolenie jeziora jest prawie

tak duże, jak Morza Martwego z terenu Izraela i Jordanii. Jednak nie tylko zasolenie mogło nasunąć takie skojarzenie. Widok na **Mono Lake** przypomina zarówno scenerię z filmów *science fiction*, miasto przyszłości wyniszczone cywilizacją, jak i historię planety Ziemia z wyłaniającymi się z wody, zastygłymi w bezruchu, kamiennymi tworami. Jezioro wraz z **wyspą Paoha**, powstałą w wyniku wulkanicznej erupcji sprzed 335 lat, jest jednym z niewielu miejsc na świecie, tak aktywnych, by utworzyć wokół siebie ogromną przestrzeń tufowych labiryntów. **Tufa** powstałe na skutek reakcji chemicznej dużych ilości wapnia z dwutlenkiem węgla tworzą rozległe, różnorodne kompozycje, niespotykane formy o wielości kształtów, zmieniające swą kolorystykę w zależności od pory dnia i pory roku.

Przedzierając się przez biało-złoty skalny gąszcz, pokłóci kolczastą, pastelową bylicą rosnącą wzdłuż tufowych traktów i wypełniającą wapienny płaskowyż, gonimy unikatową chwilę, zachowaną potem na fotografii. Wrażenie jest ogromne. Wydawać by się mogło, że to co widać, to starożytne opuszczone miasto, ruiny Babilonu, czy przysypanej wulkanicznym popiołem Pompei, kamienne, mitologiczne posągi, biblijne postacie z Sodomy i Gomory, złote maski ze skarbu Inków czy indiański totem. Gdzieś w tych kamiennych tworach zamknięty jest czas, czas natury i czas legend.

Zanim na amerykański kontynent przybyli Europejczycy nad jeziorem Mono żyło indiańskie plemię zwane **Kutsavi**. Życie tej małej społeczności ściśle związane było z biologicznym cyklem jeziora, współgrało z życiem ogromnej ilości zamieszkującej nadbrzeże dzikiego ptactwa, poddawało się prawom natury. Głównym źródłem pożywienia tej grupki Indian, były bogate w białko i tłuszcz poczwarki muchy kutsavi. Wielkością przypominały ziarnka ryżu, łatwo można było je przechowywać i służyły do przygotowywania najrozmaitszych potraw. Plemię zamieszkiwało te tereny jeszcze w XIX wieku. W 1863 roku zawitał w te strony pewien znany geolog. Indianie poczęstowali go swoją potrawą. – Smakowało dobrze – napisał później w swoim dzienniku – Gdyby tylko zapomnieć o pochodzeniu, byłaby z tego świetna zupa.

Sierpniowa kalifornijska noc, to mnóstwo gwiazd i wielki księżyc, tym większy, że w podwójnym odbiciu na płaszczyźnie nie skażonego jeszcze cywilizacją jeziora. Gwiazdozbiory, przerastające ludzką wyobraźnię, od zawsze prowokowały powstawanie legend. Indianie znad Mono Lake, też snuli swoje opowieści.

Trzej indiańscy myśliwi gonili niedźwiedzia. Niedźwiedź uciekając tak wzbił się w górę, że dosięgnął nieba. Myśliwi jednak nie zaprzestali pogoni. Strzelali do niego z indiańskich łuków. Ze zranionego niedźwiedzia kapłała krew i stąd jesienią liście robią się czerwone. Kapał też tłuszcz, dlatego liście jesienią żółkną. Niedźwiedź zatrzymał się na niebie, a za nim ciągle widać trzech myśliwych.

Dzisiaj nikt już takich legend nie pamięta. Kultura indiańska stała się towarem, sprzedawanym na każdym rogu ulicy. Nie ma już plemion żyjących zgodnie z naturalnym cyklem przyrody. **Mono Lake** żyje jednak swoim życiem. Dzikie ptactwo budzi się co rano i zanosi swój śpiew pod wulkaniczne góry, skąpane w czerwieni wschodzącego słońca, a wieże tufowe, zastygłe, nieruchome, niezmiennie, zamykają w sobie tajemnice naszej planety.

W pogoni za złotem

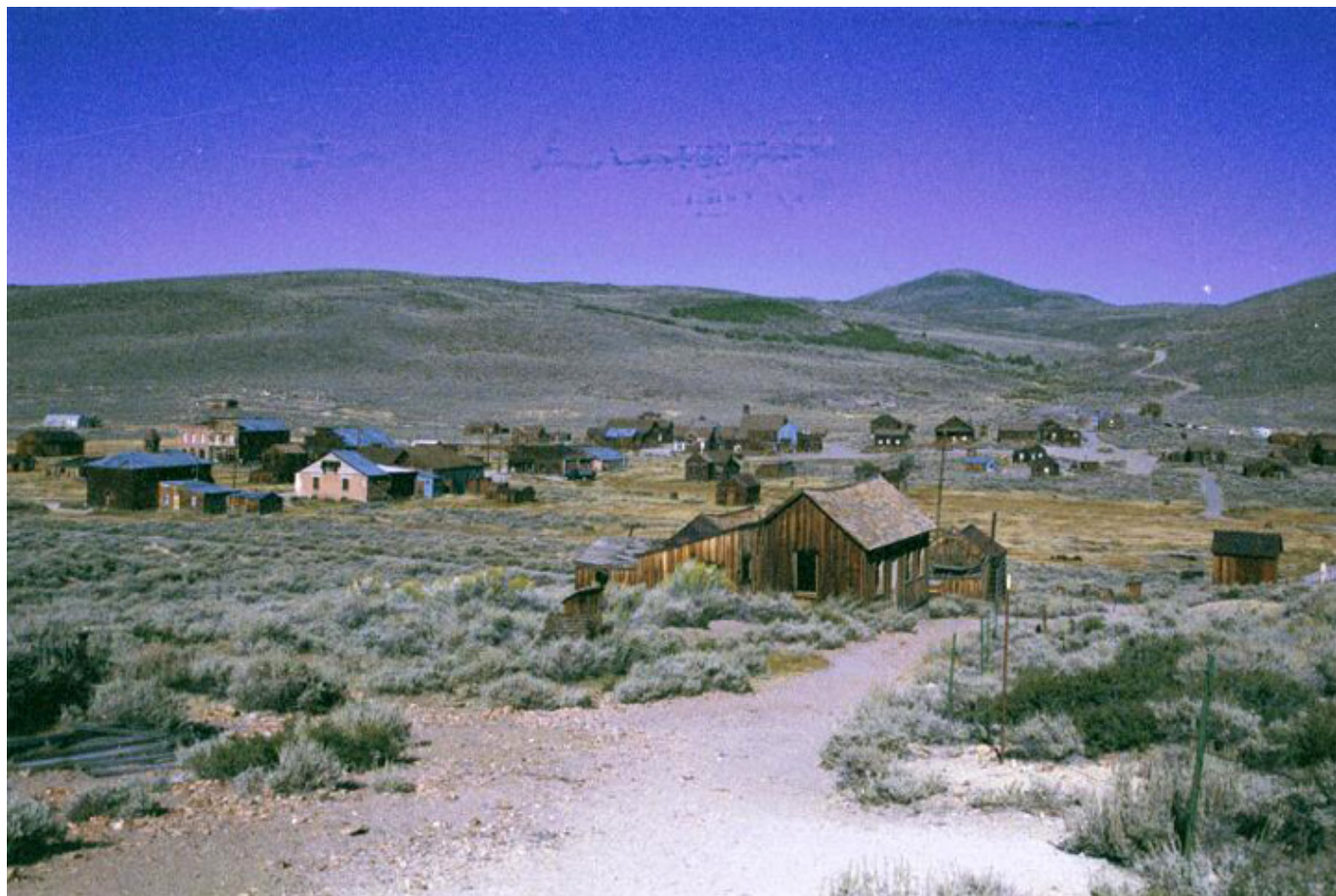
Joanna Sokołowska-Gwizdka



Joanna Sokołowska-Gwizdka i Jacek Gwizdka przed historycznym sklepem w Bodie – miasteczku marzycieli.

Miasteczko Bodie - skansen ludzkich namiętności

Słońce jest już ponad górami pokrytymi skąpą roślinnością. Piaszczysta, kręta droga, wiodąca na południe od kowbojskiego miasteczka Bridgeport, odkrywa coraz to nowy, skalisty krajobraz. Ciepłe powietrze wciska się w górskie przełęcze. Ilu ludzi w pogoni za błyszczącym kruszcem utopiło tu swoje marzenia? Jaką cenę trzeba było zapłacić za stukot metalowych krążków? Tętent końskich kopyt sprzed stu lat miesza się z odgłosem silnika samochodu. Z płyty leci muzyka Carlosa Santany. W oddali widać zlewające się z tłem krajobrazu drewniane dachy rozsypanych pomiędzy górami Sierra Nevada, opuszczonych domów. Dojeżdżamy na miejsce. Okoliczni ludzie mówią, że Bodie jest miasteczkiem – widmem, miasteczkiem duchów. Jedynym zachowanym w tej okolicy skansenem ludzkich namiętności.



Bodie, fot. Jacek Gwizdka

Małe, drewniane domki z werandami, pochylone nad ulicą, z prześwitami lat odbijających się w szybach okien, w ostrym słońcu, na tle błękitnego nieba i wyschniętej roślinności, to nie plan filmowy, czy obraz z westernu z Johnem Waynem. To jedno z 546 górniczych, złotodajnych miasteczek, jedyne, które dotrwało w całości do dziś. Opuszczone od ponad 130 lat, zastygłe w wieloletnim bezruchu. Firanki w oknach, tapety na ścianach, połamany stół, przekrzywiona fotografia nad łóżkiem. Z sufitów gdzie nie gdzie wystają kawałki białego płótna, wciśnięte pomiędzy deski. Wnętrza, wypełnione marzeniami o lepszym życiu, stworzone przez mieszkańców ciasnych, małych, zimą źle ocieplonych domków. Osadników, dla których Kalifornia miała stać się „ziemią obiecaną”, krainą wielkiej szansy. Młodzi zdobywcy, nie bojący się ryzyka, poszukiwacze przygód, ściągali z całego kontynentu by odmienić swój los. Znosili zimy i upały, ogromne różnice temperatur, ostre mrozy i brak wody. Przetrzymywali samotność i zabójczo ciężką pracę. Każdego dnia walczyli o przetrwanie, ginęli przy przeprawie przez niezwykle trudne do pokonania przełęcz Sierra Nevada, żyli na pustkowiu. Poddający się prawom natury, oddaleni wielokilometrową przestrzenią od najbliższej osady, trwali,

opanowani szaleńczą pogonią za pieniędzem.



Bodie, fot. Jacek Gwizdka



Bodie, fot. Jacek Gwizdka

Słońce połyskuje ciekawie na dachach. W oddali górują nad miastem, zlewające się z krajobrazem, szyby opuszczonej kopalni. To tu w bardzo trudnych warunkach wydobywano rudę złota. Pierwsi poszukiwacze cennego kruszcu mieli łatwiejszą pracę. Wystarczyły im sita i płuczki. Spływająca z gór woda wymywała piasek, a cięższe od piasku i żwiru złoto gromadziło się w zatoczkach i w zakolach rzek. Jednak te łatwo dostępne złoża szybko się wyczerpały. Kolejni przybysze finansowani przez bankierów zaczęli organizować się w grupy, rozpoczęli budowę kopalń, młynów do mielenia rudy, systemów wodociągowych.

Idziemy ulicą, zaglądamy ciekawie przez okna, siadamy na schodach sklepu. Na wystawie stare, zakurzone przedmioty, waga, metalowe pudełka po kawie i herbacie, manekin, butelka po spirytusie, pudełko z napisem „Asspirin”. Kolejne miejsca, kolejne ulice o dźwięcznych nazwach, Bonanza, King, Prospect, Union. Szkoła z tablicą i ławkami, straż pożarna, sąd, więzienie, bank, hotel i siedem *saloonów*, w których można było wydać część ciężko zdobytych pieniędzy. W jednym z budynków zebrano sprzęty i rozmaite przybory z różnych domów. Damskie suknie, kapelusze z

piórami, sznurowane buty, wieczorowe torebki, wachlarze, perfumy. Barwnie i kolorowo musiało wyglądać życie wieczorową porą, po ciężkiej pracy w kopalni.

W gablocie album z fotografiami. Twarze, sprawy, codzienne zajęcia i ważne wydarzenia, marzenia i nadzieje.



Bodie, kościół ewangelicki, fot. Jacek Gwizdka.

Zachowany w idealnym stanie kościół ewangelicki, wygląda tak jakby za chwilę miał przyjąć modlitwę o szczęście dla poszukiwaczy złotego kruszcu. Podchodzi do nas jakiś człowiek, w wielkim kowbojskim kapeluszu. - Tak wcześnie w Bodie? - uśmiecha się. A skąd jesteście? Bo ja z San Francisco? Nocowałem niedaleko w samochodzie, by być tu z samego rana. Wtedy jest niesamowite światło, trochę porannej mgły, odrobina tajemniczości. Przyjeżdżam tu co jakiś czas. Coś magicznego jest w tym miejscu. Gdy człowiekowi nie wiedzie się w interesach powinien cieszyć się, że zdobył doświadczenie, bo jest to zapowiedzią przyszłego sukcesu. Tak mówili osadnicy.



Body, wóz którym osadnicy przybywali po swoje marzenia, fot. Jacek Gwizdka.

Ta wypracowana przez lata doświadczeń i zmagañ z wysiłkiem, kalifornijska dewiza jest ciągle żywa. Kalifornia nadal przyciąga marzycieli, ryzykantów, ludzi odważnych nie wahających się postawić wszystkiego na jedną kartę. To nie przypadek, że właśnie w Krzemowej Dolinie niedaleko San Fransico ciągle powstają setki nowych, małych i wielkich firm komputerowych. To tu w błyskawicznym tempie rozwija się Internet, którego sieć oplotła już całą kulę ziemską. Tak jak ponad sto lat temu Kalifornia była głównym dostawcą złota dla mennic i banków w całych Stanach Zjednoczonych, tak teraz dostarcza całemu światu komputerową myśl twórczą.

Czyżby więc sprawdził się jeden z amerykańskich mitów tworzony przez gotowych na wszystko poszukiwaczy złota, mit o Kalifornii - krainie bogatej, krainie szczęśliwej, krainie wielkiej życiowej szansy ?